

Dla Archiwum Wschodniego z zesłania do Związku Radzieckiego w okresie drugiej wojny światowej, relacja pana FRANCISZKA SOCHY zamieszkałego obecnie w Lublinie. Relacja nagrana na taśmę magnetofonową dnia 29 listopada 1991 roku w obecności współpracownika Archiwum Wschodniego Zdzisława Misiaka z Lublina.

Ja Franciszek SOCHA urodziłem się 22 września 1927 roku w kolonii Ostrów gmina Krystnopol powiat Sokal województwo lwowskie. Imiona rodziców - Jan i Maria z domu Krzysztofek. Ojciec z zawodu był stelmachem, jak również zajmował się gospodarstwem rolnym o dość dużej powierzchni. Mama zajmowała się prowadzeniem domu i wychowaniem dzieci, a było nas sześcioro - cztery siostry, brat i ja najmłodszy w rodzinie. Imiona rodzeństwa: Katarzyna, Jadwiga, Maria, Eugenia, brat Stanisław i ja Franciszek. Gdy miałem dwa i pół roku zmarł nam ojciec, więc całość obowiązków rodzinnych przejęła mama i starsze rodzeństwo.

Kolonie Ostrów zamieszkiwały rodziny polskie i jedna rodzina ukraińska. Były to nazwiska: Socha, Krawiec, Zagajewski, Skałka, Pusz, Olek, Franciszek Mleczek (mój szwagier), Pilch, Burkat, Zagajewski, Rydel, Chlebda, Dudek, Pawelec, Król, Węgrzyn, Feliksiak Jan, Feliksiak Franciszek, Feliksiak Władysław, Majda, Skałka, Sądal, Hagieli, Chołoj Władysław, Chołoj Józef, Chołoj Ignacy, Chołoj Jan, Słusarczyk, Kunach, Wójtowicz, oraz rodzina ukraińska o nazwisku Moróz.

Wokół naszej kolonii były wsie o następujących nazwach: Ostrów, Głuchów, Haczków, Żabcze, Siebieczów, Gruszów, Parchacz, Sielce, Turynka, Wiązowa. Wszystkie wyżej wymienione wsie zamieszkałe były przez ludność mieszaną - Polaków, Białorusinów, Ukraińców i Żydów. Z tego co pamiętam, do 1939 roku wymienione narodowości współżyły ze sobą zgodnie. Ja do szkoły uczęszczałem we wsi Ostrów, gdzie kierownictwo szkoły było polskie. Jednak od drugiej klasy szkoły powszechnej nauczano w szkole także języka ukraińskiego. Nauczaniem tym objęci byli wszyscy uczniowie.

Wieś Ostrów oddzielona była od kolonii Ostrów rzeką Sołokija,

była
na której pod koniec września 1939 roku utworzona granica niemiecko - bolszewicka. Ustały wszelkie kontakty pomiędzy wsią Ostrów, a kolonią. Kościół, szkoła, sklepy i sąsiedzi - było to wszystko od września 1939r. poza granicą "ustaloną" przez "sojuszników". Naprzykład pierwsza wojenna pasterka w Boże Narodzenie, była dla nas odprawiona w cerkwi, którą udostępnił Polakom miejscowy pop, gdyż kościół rzymsko - katolicki był we wsi Ostrów, czyli poza granicą, już w GG. Wracając do początku września 1939 r. to pamiętam jak niemieckie lotnictwo bombardowało wieś Ostrów. Najwięcej bomb wtedy spadło koło dworca kolejowego i na cmentarz, żadna bomba nie trafiła w cel. Bomby upadłe na cmentarz porzuciły ludzkie kości na okoliczne pola. Niemcy również ostrzeliwali ludzi pracujących na polach. Po wejściu wojsk rosyjskich, po raz pierwszy w życiu ujrzałem rosyjskich żołnierzy. Byli oni w długich poszarpanych płaszczach i zamiast pasów, byli przepasani sznurkami, karabiny również mieli na sznurkach i mieli jakieś dziwne czapki z czubami pośrodku. Patrole ruskich żołnierzy odbywały się każdego dnia, nawet wchodzili do domów i szukali broni. Pamiętam jak jednego dnia, moja mama wysłała mnie do pana Radwańskiego, który mieszkał w Głuchowie. Idąc przez linię leśną, spotkał mnie na tej drodze Michał Szczepański, który był gajowym w zachodniej części lasów hrabiego Platera. Szczepańskiego znałem bardzo dobrze. Gdy zbliżyliśmy się do siebie, zauważyłem na jego ramieniu karabin i czerwoną opaskę na rękawie. Zapytał mnie dokąd idę, więc mu powiedziałem. Po chwili namysłu, kazał mi stanąć pod drzewem, gdy zrobiłem to, co mi ~~powiedział~~ ^{kazał}, zdjął karabin, załadował i powiedział - "No Lachu, teraz ja ciebie zastrzelę". Myślałem, że on żartuje, a jednak oddał dwa strzały z jednej i drugiej strony mojej głowy, następnie oddał dwa strzały na wysokość moich kolan i piąty strzał oddał ponad moją głowę. Widząc że ja nie jestem przestraszony, podszedł do mnie i powiedział - "No Lachu jesteś odważny, idz sobie." Wtedy ja nie zdawałem sobie z tego sprawy, że on zrobił ze mnie żywą tarczę.

Nigdy nie zapomnę daty 10 lutego 1940 roku, kiedy to w sobotę rano około godziny czwartej, usłyszałem potężny łomot do drzwi. Wszyscy

zerwaliśmy się ze snu i szwagier drzwi otworzył i natychmiast do środka domu weszło czterech ruskich żołnierzy, za żołnierzami jakiś podoficer, a z nim właśnie wyżej wymieniony Michał Szczepański. Ten podoficer nam ~~o~~oznajmił, że mamy pół godziny czasu na zabranie najpotrzebniejszych rzeczy i że jedziemy razem z nimi. Rozkazał nam wszystkim odwrócić się twarzami do ściany i wydał żołnierzom rozkaz zrobić rewizję. Gdy nie ~~znal~~znaleźli niczego, wtedy powiedział, że możemy wziąć trochę odzieży i żywności. Następnie rozkazał nam wyjść z domu. Ku naszemu zdziwieniu przed domem stało dwoje saní zaprzęgniętych w konie. Następnie rozkazano nam złożyć bagaż na te sanie i siadać. Podochroną tych czterech ~~żo~~żołnierzy ruszyliśmy ~~do wiosk~~przez las do wioski ukraińskiej Głuchów. Po przybyciu do Głuchowa, kazano wszystkim wejść do dużej sali szkolnej. Gdy już wszyscy byli w tej szkole (sali), wszedł oficer NKWD i oznajmił nam że jedziemy w głąb Rosji i tam będzie nam dobrze, że każda rodzina dostanie dom i że każdy będzie miał pracę i nikt z nas nie będzie chciał wracać z powrotem . Następnie spisano nazwiska wszystkich i rozkazano nam wsiadać na sanie i pod strażą ruskich żołnierzy ruszyliśmy w kierunku ~~w~~schodnim. Jechaliśmy drogami leśnymi w kierunku Parchacza. Było bardzo zimno. Jak dobrze pamiętam , luty 1940 roku był bardzo mroźny. Gdy przywieźli nas na stację kolejową do Parchacza, zauważyłem bardzo długi zestaw wagonów bydlęcych, a z obydwu stron tego pociągu stali rosyjscy żołnierze. W pociągu tym na całej jego długości, pomiędzy wagonami, były rozmieszczone specjalne budki, w których przebywali uzbrojeni strażnicy. Gdy cały transport ludzi z kolonii Ostrów był już na miejscu, zauważyłem że nadciąga następny transport. Byli to ludzie z innej miejscowości, która nazywała się Gruszów. Rozkazano nam wchodzić do tych wagonów po 60 osób. W wagonach były podwójne prycze, a pośrodku każdego stał żelazny piec. Po załadowaniu nas do wagonów, wszedł do środkax wagonu podoficer i spisał nazwiska wszystkich którzy się tam znajdowali. Następnie wzięli kilku mężczyzn, którym polecono zabrać ze sobą wiadra na wodę. Po pewnym czasie mężczyźni ci powrócili, przynosząc w wiadrach wodę i kilka ~~kawałków~~worków kamiennego węgla .

Następnie ten sam podoficer wydał rozkaz zasunąć drzwi. Słysząc było jak ryglują zasuwę i zamykają na kłódki. Ludzie w wagonie zaczęli układać to, co ze sobą zabrali i w pewnym momencie zauważono że jedna rodzina nie jest w komplecie. Zapytano Franciszka Feliksiaka gdzie jest jego żona Antonina z dziećmi. Feliksiak odpowiedział ze łzami w oczach, -" Mnie zabrali, a Antosię z dwojgiem dzieci i z noworodkiem które się urodziło z piątku na sobotę 10 lutego zostawili samą na pastwę losu!"
6 Pytam się po dziś dzień, czy było to ludzkie? czy było to humanitarne? Czyż można w ten sposób rozdzielać rodzinę? Czyż można pozostawić matkę z dziećmi bez żadnej opieki i zabrać jej męża i ojca dzieciom? Ten Franciszek Feliksiak zginął w czasie robót leśnych na Uralu.

W wagonie było bardzo gwarно, ludzie starsi mówili, że będzie to koszmarna droga do tego raję. Dzieci płakały, kobiety modliły się, aż nagle usłyszeliśmy przeraźliwy ryk lokomotyw. Pociąg ruszył, to do przodu, to do tyłu i tak kilka razy nastąpiło szarpanie wagonami, w wyniku czego dużo ludzi pospadało z prycz, a najwięcej spadło dzieci i ludzi starszych, którzy się nie mogli utrzymać na nogach i się przewracali. Pociąg ruszył około 10 wieczorem. Jechaliśmy na wschód.

Nasza cała rodzina zajęła miejsce na górnej pryczy w rogu, ~~w którym~~ w którym było małe zakratowane okienko, ale nie było w nim szyby. Zimny wiatr wiał do środka wagonu. Mama dała mi jakiś koc i ja zabezpieczyłem to okienko przed zimnem. Warunków sanitarnych nie było żadnych, więc mężczyźni wyrąbali otwór w podłodze, aby ludzie mogli pójść za swoją potrzebą. Było to krępujące, ale nie było innego wyjścia.

N Nie pamiętam na jakich stacjach zatrzymywał się nasz transport, ale pamiętam, że jechaliśmy przez Kijów, Charków. W Charkowie pierwszy raz otworzyli drzwi w wagonie i strażnicy zabrali ze sobą czterech mężczyzn, którym polecono z wiadrami wyjść. Po powrocie mężczyźni ci przynieśli osiem wiader kaszy jęczmiennej, po czym zostaliśmy ponownie zamknięci na kłódki. Co się okazało, ta kasza była wogóle nie nadająca się do jedzenia, ponieważ była zupełnie skisnięta i pokryta zieloną pleśnią. W wagonie, tak dzieci, jak i starsi zaczęli chorować. Brak było wody. Dzieci, tak ja jak i inne, zgarnywaliśmy przez to jedyne małe

okienko śnieg z dachu wagonu i w ten sposób przez stopienie śniegu na piecu mieliśmy wodę. Po przygotowaniu tej wody, można było dopiero dać pić chorym, szczególnie dzieciom i starcom. Opieki lekarskiej nie było żadnej. Kilkoro dzieci w drodze zmarło. Gdy transport stanął na jakiejś stacji, ludzie zaczęli alarmować i wołać o pomoc lekarską. Przyszedł wtedy jakiś oficer NKWD z żołnierzami i powiedział że "wracza niet!" Żołnierze ci zabrali tylko ciała zmarłych, wyrzucili na śnieg i zaryglowali drzwi. Po jakiejś godzinie pociąg ruszył w dalszą drogę. Tak jechaliśmy przez 17 dni, aż wreszcie przyjechaliśmy do miejscowości, która nazywała się SOSWA. Tam, po raz pierwszy dano nam gorącą rybną zupę. Było to w godzinach popołudniowych. Około godziny 16 -tej podjechało kilkadziesiąt san i wtedy znowu jakiś oficer NKWD kazał wszystkim siadać na sanie (podwoły). Powiedział, aby się dobrze poubierać, ponieważ czeka nas jeszcze długa droga. Gdy wszyscy byli już gotowi, cała kolumna ruszyła. W czasie tej podróży kolumna nasza była pod strażą, tak pieszą, jak i konną. Kiedy dojechaliśmy nad rzekę Sośwę, która była zamarznięta i gdy cała kolumna znalazła się już na pokrytej lodem rzece, lód zaczął się uginać, falować. Powstała między ludźmi panika, na co jeden z NKWD powiedział nam, abyśmy się nie bali, ponieważ ten lód jest wzmocniony stalowymi linami. Z chwilą gdy przejechaliśmy tą rzekę na drugi brzeg, wszyscy odetchnęli. Jechaliśmy teraz leśną drogą, która zrobiona była z okrągłych kłoców. Dotarliśmy do miejscowości, która nazywała się KASZAJE. Był tam duży kołchoz, Tam nam dano kąpiatok i po kostce cukru na osobę. Po czym ruszyliśmy w dalszą drogę. Tak jechaliśmy całą noc. Mróz był siarczysty, dzieci były pootulane na saniach, a starsi ludzie szli piechotą. Po jednej i po drugiej stronie tej drogi nic nie było innego widać, tylko w nieskończoność lasy. Po tylu dniach katorżnej podróży dotarliśmy wreszcie do miejsca zsyłki, do poseszka który nazywał się CZARY. Tam kazano nam wszystkim wejść do dużej szkoły. Każdy zmęczony padał, gdzie kto mógł. Tam nam dano kąpiatok i sup z wapszój (zupę z makaronem). Następnego dnia rozdzielono wszystkie rodziny po domach, jak również rozdano książeczki żywnościowe. Moja mama dostała dom na dwie rodziny, to znaczy na moją najstarszą siostrę z mężem i dwojgiem

dzieci i na resztę naszej rodziny. W środku tego domu znajdował się przedsionek, duża izba a w niej prycza na 6 osób, stół z nie heblowanych desek i dwie ławy. Był również piec chlebowy i kuchnia. Stan tego domu był niemal w ruinie,- brudny,obszarpany, pełno robactwa, a najgorsze to były pluskwy. Posiołek był zbudowany w lasach.

Na drugi dzień po przyjeździe naszym, zebrano w tejże szkole wszystkich nas i powiedziano nam co nam wolno, a czego nie wolno. Pracować musieli wszyscy od dwunastego roku życia. Powiedziano nam przede wszystkim żebyśmy zapomnieli o powrocie do Polski, ponieważ Polski już nie ma. Jak również powiedzieli nam, że w każdej pracy obowiązuje norma. Kto wykona normę otrzyma 1 kg chleba, a kto jej nie wykona otrzyma 20 dkg chleba. Ci, co będą wykonywać pracę ponad normę, otrzymają wszystko i będą nazywani stachanowcami. Praca prowadzona była tylko w lasach. W zimie przy wyrębie drzew, układaniu w sągi, oraz rżnięciu drewna i rąbaniu na małe klocki. Klocki te służyły jako paliwo na gaz regeneracyjny do poruszania pojazdów mechanicznych - ciężarowych. Wyrabiano również tak zwane dramki - są to cienkie listewki do obijania domowych ścian przed tynkowaniem.

Cała moja rodzina pracowała w lasach. Na przykład moja najstarsza siostra dostała pracę przy nacinaniu zdyмки na drzewach iglastych . Praca polegała na nacięciu na drzewach iglastach kory i pobraniu żywicy do tzw. przyjomników (są to wypalone z gliny lejki). Moja siostra otrzymała do pracy działkę na której było trzy tysiące sosen. To wszystko musiała obejść i naciąć te rowki w ciągu trzech dni. Gdy siostra była w trzecim dniu tej pracy, ja zaczynałem moją pracę. Wyglądała ona następująco - Miałem dwa wiadra i specjalny nóż, który z jednego końca był w kształcie haka. Końcem hakowym oczyszczałem nacięte rowki, a prostą częścią tego noża wybierałem żywicę z lejka i wkładałem ją do wiadra. Gdy wiadra były napełnione, odnosiłem tą żywicę do majstra, który sprawdzał wagę i objętość. Po sprawdzeniu, żywicę wlewałem do beczki. Jedno wiadro zawierało 15 kg. żywicy. Praca była bardzo ciężka. Różne robactwo i komary dokuczały najbardziej.

Dużo ludzi umierało z powodu wycieńczenia i różnych chorób. Mój brat zmarł przy wyrębie drzew w lesie. Został przygnieciony klocem, miał połamane żebra i popękane wnętrzności. Zmarł po trzech dniach strasznych cierpień.

Na posiołku Polacy wybudowali cegielnię, gdzie robiono cegłę i lejki do zbierania żywicy. Również Polacy wybudowali w lasach dwa posiołki, które zostały nazwane Kalinka nr 2 i Kalinka nr 3. Życie na tym posiołku Czary było bardzo ciężkie, wyżywienie również bardzo ~~skąpe~~. Jedno, co nas ratowało, to bogate runo leśne - grzyby, różnorodność jagód i dzikich owoców.

Tak upływało nasze życie w tym nieludzkim kraju do czasu, kiedy to został podpisany układ między Sikorskim i Stalinem. Po tym fakcie przyjechał do nas polski delegat i poinformował wszystkich Polaków, że tworzy się Armia Polska i możemy się zgłaszać do punktów zbornych pod podane nam adresy. Wydano również nam wtedy tzw. "udestwierenia", które upoważniały nas do poruszania się po ZSRR. Natychmiast wszyscy mężczyźni ruszyli pieszo do Sośwy, a stamtąd pod dane im adresy. Następnie pozostałe rodziny ruszyły w pięćdziesięciokilometrową podróż przez lasy do Sośwy. Tam moja mama za ostatnie pieniądze kupiła bilety kolejowe dla całej naszej rodziny i tak ruszyliśmy w dalszą naszą tułaczą podróż. Byliśmy teraz pełni nadziei i wiary, że oto nareszcie wyrwiemy się z tego katorżniczego kraju. Nasza dalsza podróż odbywała się w różnych kierunkach, ponieważ Rosjanie świadomie kierowali nas pod mylne adresy. Jechaliśmy przez Sierow, Swierdłowsk, Charków, Czelabińsk. W Czelabińsku moja siostra Eugenia poszła z wiadrami do stołówki, gdzie sprzedawali zupę po podwójnej cenie, a ja poszedłem do sklepu, gdzie również chleb sprzedawali po podwójnej cenie. W Czelabińsku pociąg miał stać 2 godziny, więc dużo ludzi wyszło z pociągu, aby kupić trochę żywności na dalszą drogę. Aby się dostać do sklepów należało przejść przez 9 torów. Stojąc w kolejce za chlebem, usłyszałem sygnał lokomotywy, która ciągnęła ten pociąg w którym jechali Polacy. Ja zdążyłem kupić 2 chleby i podbiegłem do mojej siostry i powiedziałem jej by zostawiła wszystko, gdyż nasz pociąg odchodzi. Wybiegliśmy na

tory i ku mojemu zdziwieniu, prawie wszystkie pociągi zaczęły ruszać jednocześnie, każdy w inną stronę. Ja zauważyłem że jedno wyjście jakie mam, aby się dostać do naszego pociągu, to tylko przeskok pod ruszającymi wagonami. Nie wypuszczając chleba z rąk, jakoś zdążyłem jeszcze wskoczyć na zderzaki ostatniego wagonu. Wisząc na tym zderzaku, a pociąg pędził non - stop, aż się zatrzymał w Taszkencie. Tam dopiero się ~~zorientowałem~~ zorientowałem, że moja siostra została w Czelabińsku. W Czelabińsku z tego powodu zostało również wiele innych osób, które jechały tym pociągiem. Następny etap to Samarkanda. Tam pociąg stał całą noc. Następnego dnia ruszyliśmy do Buchary. Z Buchary dojechaliśmy aż do Kitabu w Uzbekistanie. Tam kazano nam wysiąść z pociągu i zasięgnąć informacji w NKWD . Gdy zrobiliśmy tak jak nas poinformowano, to wtedy przyszło kilku urzędników NKWD i porozdzielali ludzi, jedni zostali w Kitabie, a innych odwieźli do Siachreziabu, jakieś 10 kilometrów od Kitabu. Dlaczego tak zrobiono, nie wiem. W Kitabie zostawili moją mamę, siostrę Marię i mnie, natomiast siostrę Katarzynę z mężem i dwojgiem dzieci, oraz siostrę Jadwigę odwieźli do Siachreziabu.

Moja mama była ciężko chora po tej długiej podróży, więc zdecydowałem z moją siostrą aby ją przyjęli do szpitala. Poszedłem do urzędu NKWD i opowiedziałem im o naszej sytuacji. W NKWD powiedzieli mi, że mamę zabiorą do szpitala, siostrę odeślą do kołchozu, a mnie odeślą do internatu dla chłopców. Zgodziłem się na ich warunki . Pamiętam jak poszedłem do szpitala odwiedzić moją mamę , było to we wtorek. Mama wyszła do mnie na taras, była w długiej kremowej koszuli i z ogoloną głową. Powiedziała mi że jest to szpital dla ludzi dla których nie ma nadziei, ale że ona czuje się dosyć dobrze. Ta wiadomość, że mama czuje się lepiej, ucieszyła mnie serdecznie. Nie zdawałem sobie wtedy sprawy, że jest to ostatnie widzenie się z moją mamą. Następnego razu, gdy poszedłem odwiedzić moją mamę, już jej nie było. Siostra szpitalna powiedziała mi że zmarła, a gdy zapytałem , gdzie jest pochowana, ta powiedziała mi gdzie mam się udać, to tam mi powiedzą. Udałem się do tego urzędu, skąd jakiś mężczyzna wskazał mi miejsce, gdzie moja matka była prawdopodobnie

pogrzebana. Kiedy zaprowadzono mnie na miejsce pochówku, zostałem zaszkowany. Był to wykopany duży rów, a w nim może trzydzieści (30) ludzkich ciał ułożonych nogami do środka, a ~~nogami~~ ~~do~~ głowami do ścian tegoż rowu. Wszystkie ciała były zasypane wapnem. Nigdy w życiu nie zapomnę tego widoku. Rozpłakałem się i powróciłem do ochronki. Ruscy chłopcy widząc że jestem zapłakany, zapytali co się stało. Opowiedziałem im wszystko. Oni spoglądając na siebie, po chwili powiedzieli mi że do Kitabu nadciągają transporty z polskimi żołnierzami. [Nie czekając ani chwili, natychmiast wybrałem się do Kitabu na stację kolejową . Do stacji kolejowej było 8 kilometrów. Gdy doszedłem do stacji, rzeczywiście zauważyłem dużo żołnierzy mówiących po polsku, byli tylko w innych mundurach. Zapytałem ich czy są Polakami. Odpowiedz była - "Ależ tak synu". Zaraz mnie zabrali do kuchni polowej, dali mi jaglanki i pytali czy są tutaj jeszcze jakieś polskie rodziny i dzieci. Powiedziałem im że tam skąd ja przyszedłem, to nie ma, ale w Siachereziabie to są i że tam gdzieś są moje siostry i że jedna siostra jest w pobliskim kołchozie . Powiedzieli mi - "Nie martw się dziecko, my ich wszystkich odnajdziemy". Było tam już dużo polskich chłopców. Po spisaniu wszystkich danych, wykąpano nas i dali nam angielskie wojskowe mundury i buty. Wyglądaliśmy jak straszydła, ponieważ tak mundury jak i obuwie , było to wszystko na dorosłych mężczyzn, a nie na dzieci. Wojsko Polskie które otoczyło nas tak serdeczną opieką, była to tworząca się szósta brygada lwowska. Za jakiś tydzień czasu odesłano nas, już pociągiem pasażerskim do Wrewska. Tam właśnie był główny punkt zborny dla wszystkich młodych chłopców i sierot. Był tam też szpital wojskowy. Ordynatorem tego szpitala był p pułkownik dr Brończyk. Ja tam chowowałem na tyfus, czerwonkę, dezynterię i malarię. We Wrewsku były już organizowane szkoły junackie. Ponieważ ja i wielu innych, byłem w szpitalu, więc nie mogłem wyjechać do Persji. Wyjechałem z Wrewska do Kirmine ostatnim transportem . We Wrewsku umieralność, tak żołnierzy, jak i młodych chłopców, była bardzo duża. Z Kirmine wyjechaliśmy do Narpaju (lub Marpaju ?) i po krótkim pobycie w tym obozie i po segregacji na kompanie, wyjechaliśmy do Krasnowodzka, Z Krasnowodzka statkiem przez

morze kaspijskie do Pahlawi.

I tak się zakończyła moja i wielu tysięcy Polaków tułaczka w tym nieludzkim kraju, jakim był Związek Radziecki.

Podaję dokładny adres miejsca przymusowej zsyłki mnie i mojej najbliższej rodziny w latach drugiej wojny światowej na terenie ZSRR,
- Sierowskij rejon, Swierdłowskaja obłas't, posiołek Czary, stacja Sośwa.

Kończąc moją relację z zesłania mnie i mojej najbliższej rodziny do ZSRR, pragnę serdecznie podziękować polskiemu rządowi w Londynie będącemu na emigracji i Polskiemu Żołnierzowi na wychodźstwie, za wyrwanie nas z tego piekielnego kraju i otoczenie nas troskliwą i serdeczną opieką.

Mam nadzieję, że ten streszczony bardzo pobieżnie mój życiorys, przyczyni się do wzbogacenia Archiwum Wschodniego i ^{do} przekazania historii tej ~~Małej~~ męki Narodu Polskiego w okresie drugiej wojny światowej.

Franciszek Socha

